ROZMAITOŚCI.

Dnia 6 lutego, N.er 6. roku 1847.

ŻONA I KOCHANKA.

Wieczór nadchodził. Ostatnie blaski słońca, odbite od białego muru ogrodowego, promieniły się w tęczę po kwiecistych grządkach ładnego przedmiejskiego ogródka i oświetlały okienko małego dworku, w którym dwoje pięknych ócz, chciwie je w siebie pijąc, drobnémi znowu gwiazdkami rozbłyskiwało. Winna macica wiła się rozkosznie wokoło okienka, a wieczorne światło i wieczorny wietrzyk igrały swawolnie z bujném, ładniutko ząbkowaném liściem winnego krzewu, aż wreszcie promienie zachodu coraz wyżéj i wyżéj się usuwały, w końcu zupełnie zagasły, a Tekla mimowolnie z marzenia się ocknęła.

»Ach« — westchnęła dziewczyna— »jakże rozrzewniającém jest wszelkie rozstanie, nawet rozstanie się z naszą najmilszą przyjaciołką, z tą zorzą dnia, która przecież co rana wraca, i tylko z miłości dla nas, żegna się z nami. — Ale gdzież moja robota?«.... to mówiąc podjęła upuszczone krosienko. »Gdyby mię matka tak była zastała!« — Wzięła się znowuż pilnie do haftowania, lecz praca szła oporem, krosienko zsunęło się znowu na kolana, i znowu oko zwróciło się ku białemu murowi ogrodowemu, jakby tam nie to wieczorne słońce zagasło było, lecz jakieś inne wzejść miało.

Wreszcie zawołało dziewczę radośnie: »Otoż jest!« — i skinąwszy główką uprzejmie w powitanie, wzięło mantylkę, kapelusik, i wyszło szybko z izdebki. Matka, zazwyczaj wieczorem w ogródku zatrudniona, stała przed domkiem.

»Mamo, ukończyłam robotę; czy mogę pójść do mojéj przyjaciołki?«

»I dziś znowu? Naprzykrzysz się moje dziécię, jeźli tak często bywać tam będziesz.«

Tekla zarumieniła się, i w dół spuściła oczy, ale przecież z uśmiéchem odrzekła: »O, nie, mamo, nie!«

»A więc idź, kiedy ci się tak podoba.«

A Tekla pospieszyła wesoło za bramę. Byłaby ona chętnie jeszcze spiesznićj wybiegła, i poza róg domu zboczyła, lecz już nauczyła się zapewne tego, co ludzie rozsądkiem nazywają, gdyż zwolniła kroku, i zdawała się nie widzieć wcale swojéj kochanéj przyjaciołki, która była jednakże bardzo przystojnym młodzianem, czatującym pod murem ogrodowym, kędy Tekla tak chętnie przed chwilą spoglądała. Oboje szli długo w milczeniu i w równym kierunku wzdłuż ulicy, poczém zaczęli się coraz bardziéj ku sobie zbliżać, a wreszcie na skręcie, zeszli się z sobą.

»Przychodzisz pan dziś bardzo późno—?«

»O, i bardzo smutny przychodzę.«

»Bardzo smutny, panie Sewerynie?« —

Wyszli za miasto, i zwrócili się ku samotnemu cmentarzykowi w polu. Aż potąd żadne z nich nic nie mówiło; tylko Seweryn ujął Teklę za rękę. Był on bardzo schludnie ale skromnie ubrany, i miał wiele szlachetności w postawie. Rysy jego twarzy były dość ujmujące, cera delikatna, prawie kobiéca, a samo oblicze byłoby można nazwać pięknem, gdyby nie jakiś niemiły w zacięciu ust utkwiony wyraz, mający w sobie coś niby fałszywego. Lica zaś Tekli były tak otwarte i czyste, jak świéżo rozkwitła róża.

»Smutną pan dziś drogę do przechadzki obrałeś« — ozwała się dziewczyna.

»Jest ona stosowną do tego, co pani mam powiedzieć.«

Tekla stanęła, i spojrzała nań okiem, pełnem najrzewniejszego uczucia.

»Tak, Teklo! Musimy się rozstać.«

»Rozstać?« — Tu przyszły jéj na myśl owe mimowolnie przy zachodzie słońca wyrzeczone słowa.

»Rozstać, ale i znowu się obaczyć«— mówił młodzian. »Dla tego wyprowadziłem cię w to miejsce. Tu, na grobach, zaprzysięgnij mi, iż mię zawsze kochać będziesz.«

»Watpiłżeś pan jeszcze?»

»Już nie pan, Teklo! Przynajmniéj w téj ostatniéj chwili nie nazywaj mnie panem.»

»A więc tak rychło rozstać się musim! I cóż cię zmusza do tego?«

»Przebacz, że mi boleść obecna, nie dała wspomnieć o dawniejszéj boleści. Dziś rano otrzymałem list z czarną pieczęcią. Ojciec mój umarł! Matka powołuje mię do stolicy, abym objął interesa ojcowskie. Nie jestżeto boleśnie, być przymuszonym z tém słowem »śmierć«, słowo »interesa« kojarzyć! A przecież, nie może być inaczéj. Widzisz mię już gotowego opuścić może na zawsze te mury, w których tyle szczęścia doznałem. Nie zechcesz-że udać się kiedyś za mną w moje miejsce rodzinne? Czyż i tam równie przyjaźno nie powita cię natura? To oko będzie zawsze z radością na ciebie patrzyło, a wszakże oko jest najpiękniejszém, najniezmienniejszém niebem! Będzież mię Tekla kochała, aż poki nie będzie mogła żyć zawsze ze mną?«

Zaprzysięgli sobie wieczną miłość — na grobach. Najszczérszą zapewne była przysięga Tekli. Rozstali się więc, i nie wiém, czém dziewczyna w domu przed matką to wytłumaczyła, iż z zapłakanémi oczyma od przyjaciołki przyszła.

* * *

Już blizko rok upłynął. I znowuż zamierzchł był równie piękny dzień, jak niegdyś ów dzień rozstania, i znowu siedziała Tekla u swego okienka za zieloną obsłoną winnego krzewu, lecz jużto nie ta sama, co dawniéj Tekla. Lica wybladły, róże przygasły. Oświécał ją wprawdzie miły wieczór różanémi połyski, jakby nie mógł patrzyć na nią w tym stanie, i chciał powetować pozorem, co w rzeczywistości ubyło; lecz duszy opromienić nie zdołał.

Tekla była samą; mogła więc puścić wodze uczuciom, a łzy, te jednozgłoskowe wyrazy bolu, biegły szybko jedna po drugiéj i wiązały się w osnowę najczulszéj elegii. Nagle zapukano.

»To pewnie matka» — rzekła dziewica, i spiesznie lica sobie otarłszy, zerwała się, i otworzyła.

Listonosz stał za drzwiami.

»Czy tu mieszka Tekla G....?«

»Ja nią jestem.«

»Oto list ze stolicy. Proszę podpisać recepis.«

Z pośpiechem radości, z pałającém obliczem rzuciła się Tekla nazad do pokoiku, i powiodła szybko piórem po podanéj sobie karteczce. »Co się należy?«

»Dwa grosze.?

»Oto. Proszę. — Nie, nie, zatrzymaj wacpan«— ozwała się Tekla wyprawiając listonosza, który jéj chciał zdawać ze złotówki, bo list był frankowany; a sama czém prędzéj drzwi za sobą zamknąwszy, pobiegła ku okienku, świadkowi swego szczęścia i smutku.

Już pieczęć była zerwana, spojrzenia Tekli pochłaniały chciwie wyrazy listu, lecz wkrótce twarz jéj pobladła, list wypadł z rąk na ziemię, a za nim padła i Tekla.

Podnieśmyż ten list i przeczytajmy. Stało w nim:

»Pisałaś pani przed niejakim czasem do stolicy. Treść listu twojego była nadmiar rozrzewniająca, i była zapewne prawdziwa, gdyż osoba, któréj został oddanym, stała się od tego czasu smutną, może wyrzutami sumienia udręczaną. Osoba tą obchodzi mię bardzo blizko, jest to — mój mąż. Przypadek, nie pytaj pani, jaki, uwiadomił mię o treści twojego listu, i o przyczynie zmiany w moim mężu. Co może nie każda żona byłaby uczyniła, jam uczyniła — milczałam. Jednakża jestem zbyt dumną, abym miała zaspakajać

się miłością podzielaną lub występną. Mój mąż i ja, jesteśmy wyznania ewangelickiego; związek nasz może być rozwiązanym. Przyjedź pani do stolicy. Załączam pieniądze na podróż. Nie odmawiaj pani przyjęcia onych, i przybywaj. Wrócisz mu pani może spokojność. Ja sama będę się starała być pośredniczką. Znajdziesz we mnie prawdziwą przyjaciołkę.«

Tekla dźwignąwszy się z ziemi, usiąkła w krzesło; zmysły ją opuszczały, zdało się, iż traciła przytomność. Niebogal I to dla tak powszedniego wypadku. Bo cóżto tak nadzwyczajnego, że sobie dwoje wieczną miłość przysięże, a we dwa miesiące póżniéj, za rzecz dogodną użna, zapomnieć o tém na wieki? Ktożby sobie tak dalece brał to do serca? Wszakże to stara piosenka.

»Tak!« — ozwała się Tekla po chwili. »Przezwyciężę się! O Boże, dodaj mi siły!« — Po tych słowach wstała, chwyciła się rękoma za kratę w oknie, i przytuliła pałające czoło do żelaza. Tak okiem duszy w siebie patrząc, zostawała spokojnie przez czas niejaki, i usiłowała zgarnąć zmysły. Wreszcie podniosła list upuszczony. »Pójdź tu do mnie karto, któraś rozerwała węzeł między mną a światem« — rzekła boleśnie — »pójdź, niech cię jeszcze raz okiem przebiegnę! — Zacna szlachetna kobiéto! — Zasłużyłżeś ją sobie, ty zwodniczy, fałszywy człowieku? Tak, pojadę, ale nie po jałmużnę jéj serca.«

* * *

Pod pozorem towarzyszenia wyjeżdżającéj na wieś przyjaciołce, i przyniesienia ulgi nadwerężonemu zdrowiu; pozwoliła zwiedziona matka na oddalenie się córki, a ta, do stolicy pospieszyła. Podróż minęła szybko, jak zwykle mija, kiedy między celem naszéj drogi a nami, jedna tylko myśl leży, która wszystko, doliny i góry, jednostajną, mglistą zasłoną powléka, i z przed oczu usuwa. — Wrychle przybyła Tekla do stolicy. Stanąwszy w domu gościnnym, napisała kilka słów do małżonki swego kochanka, i natychmiast list posłała.

Poczém układła się na sofę, i myślała że zginie z osłabienia Od czasu wyjazdu z domu, ani na chwilę oka nie zmrużyła. Spieszyła dniem i nocą, gnana dręczącémi myślami, przytłumiona walką sprzecznych, bolesnych uczuć.

Za każdym krokiem na korytarzu, drzała nieboga jak liść osiki; każdy krok zdawał się jéj zwiastować chwilę ostatecznego sądu. Nareszcie zapukała zcicha do drzwi, a obiedwie szlachetne rywalki — o niegodne może serce walczące — stanęły naprzeciw siebie.

Żona wpatrzyła się badawczo przez niejaką chwilę w kochankę. Była zadowoloną, i rzekła wzruszona: »Witam panią serdecznie.«

Tekla, tak słaba dopóki sama, odzyskała w téj chwili wszelką moc duszy. »Witasz mię pani?....» rzekła zcicha. »Witam panią szczérze« — powtórzyła żona. »Przyrzekłam pani być przyjaciołką, a com dalekiéj odemnie obiecała, tego teraz obecność twoja, jako obowiązku po mnie wymaga. Chciéj pani dziś przyjść do nas o wpół do piérwszéj.«

»Chciałam to uczynić, lecz teraz, inacziéj się namyśliłam. Nie wstąpię nigdy do domu, gdzieby obecność moja szczęście jego zniszczyła.«

»O, to szczęście już zniszczone; a teraz jedynie o to chodzi, jakby je przynajmniéj choć w części naprawić. O w pół do piérwszéj oczekuję panią u siebie. Zważ, w jakim celu tu przyjechałaś. Jakoż jestem pewną, że przyjdziesz!«— To mówiąc ucałowała Teklę w czoło, i szybko wyszła z pokoju.

»Tak!«— zawołała Tekla. — »Masz słuszność, osobliwsza kobiéto, przyjdę.«

Było już po dwunastéj. Seweryn, majętny obywatel stolicy, wrócił właśnie do domu, i wszedł do jadalnego pokoju. Z niejakiém zdziwieniem ujrzał tam na trzy osoby stół nakryty.

»Zapewne gość jakiś?»— ozwał się z uśmiéchem do żony.

»Tak jest.«

»I któż, jeżli pytać wolno?»

»Przyjaciołka.«

»Czy tak? A ja, czy znam ją?»

*

»Podobnoś.«

»I odkądże to pani jesteś tak łaskawą, chcieć ożywić naszą skąpą rozmowę obiadową— czemu zapewne ja sam najbardziéj winien jestem?»

»Od dzisiaj, jak widzisz; tylko nie rób sobie zbytniéj nadziei. Moja przyjaciołka wraca z podróży, i jest nieco cierpiącą.«

»Nic to! nic to!— odpowiedział Seweryn żartobliwie, i wyszedł do dalszych pokojów, o ile że jeszcze pora obiadowa była daleką.

Wtém odezwał się dzwonek w przedpokoju. Żona Seweryna wybiegła sama drzwi otworzyć.

»Ach, witaj kochana przyjaciołko!« — zawołała głośno i wesoło; zarazem zaś szepnęła Tekli do ucha: »Nie pokazujmy nic po sobie przy ludziach.«

Poczém zaprowadziła Teklę do jadalnego pokoju.

»Jesteś pani więc w miejscu, któreby według świętych praw serca, właściwie tobie się należało. Ta zastawa stołu na trzy osoby, wygląda, jakby satyrą na nas była, mniejsza oto. Dwie osoby mają prawo do jednéj! Bądź pani silną, jako opuszczonéj narzeczonéj przynależy; ja będę, jak to oszukanéj żonie przystoi. Znasz pani moje przedsięwzięcie, a w téj chwili obaczysz jak je wykonam.«

Tekla chciała się odezwać, lecz żona otworzyła drzwi, i zawołała; »Prosić pana.«

Wszedł, spojrzał, pobladł, zachwiał się, i zatoczył się na krzesło.

Jeźli Tekla już wprzódy nie wiedziała co miała mówić, témci mniéj mogła teraz zdobyć się na odpwiedź. Niema i wpółomdlała, spuściła głowę, przechyliła się na sofie, i tylko gwałtowne wznoszenie się piersi było oznaką życia. Sama jedynie żona stała między obojgiem spokojna, zimna, i prawie okrutna. Lecz nie była ona okrutną, tylko godność żony dodawała jéj mocy nie być słabą, i tę godność chciała ocalić. Nie była ona tak piękną jak Tekla, lecz silniejszą, spanialszą. Podczas gdy tamta jak źdźbło się chwiała, a schlebiała sobie może, iż ma odwagę; ta również w najwnętrzniejszéj głębi duszy drzała, lecz zewnątrz stała niewzruszona i silna jak pień dęba.

»Przybycie mojéj przyjaciołki nie przejmuje cię, jak widać, wielką radością« — zaczęła głosem jednotonnym, lecz bez goryczy i bolu. »Milczysz? Och, nie milcz! Byłoto właśnie twoją zbrodnią, żeś milczał. Teraz przyszła chwila sądu na ciebie, lecz sądu łaski i przebaczenia. Oto twoja piérwsza narzeczona; m y — należeliśmy n i e g d y ś do siebie; od dzisiaj ona w moje i swoje wstępuje prawo.«

Na to stanęła Tekla nagle pomiędzy nią a Sewerynem. »Nie!« — rzekła uroczyście. »Jako zwiastunka pokoju chciałam tu przybyć, nie jako iskra, niosąca pożogę między dwa serca. Gdybym się mogła była domyśléć, w jakich stosunkach list mój Seweryna zastanie, nigdyby ani jedno westchnienie mego serca nie było w wyraz przeszło. Ciebie, pani, poznałam jako najszlachetniejszą kobiétę, obyż Seweryn stał się tak godnym ciebie, jak się mnie niegodnym okazał.«

Tu zerwał się dziko Seweryn; uczucie skruchy ustąpiło wściekłości. »Stójcie!« zawołał. — »Chcecież mię sobie jako piłkę dorzucać! Jam nie jest coś takiego, z czegoby sobie wzajem dowolny dar czynić można. Nie chcę waszéj spaniałomyślności, nie chcę waszego zlitowania! Ja sam oddawna już się osądziłem. Jednakże ty, żono, nie masz się czego na mnie uskarzać. Czém tobie byłem, byłem ci z całéj duszy. Dla czego cię za żonę pojąłem, co ja w głębi serca mojego czułem, to ciebie nie obchodzi. Mnie to, samego siebie potępiać należy, że z tak małém zastanowieniem wziąłem sobie żonę, jak się to nową suknię bierze. Ty zaś, Teklo, ty masz prawo złorzeczyć mi, gardzić mną, gdyż ciebie zdradziłem. Zdało mi się, że cię kocham. I kochałem cię też zaprawdę, a przecież, chociaż zajmowałaś część serca mego, nie mogłaś go całego zapełnić. Zasłużyłem na twą nienawiść!«

»A więc nie kochałeś mię! Byłam ci tylko igraszką!« — zawołała Tekla z rozdartém sercem, i padła bez zmysłów.

Seweryn wyleciał w rozpaczy z pokoju; żona podniosła nieszczęśliwą kochankę, i pomogła jéj usiąść na sofie.

* * *

Przez dwa tygodnie bawiła Tekla w domu swego dawnego kochanka. Żona jego nie chciała jéj puścić od siebie; jednakże już się Tekla z nim nie widziała, chociaż Seweryn często widziéć ją, pocieszyć, a przynajmniéj o nienawiść błagać ją, domagał się—już ona go nigdy widziéć nie chciała. Po tém, co między niémi zaszło, wszelkie powtórne zbliżenie się, było niepodobieństwem. Nie żądała ona ani pociechy ani nienawiści, tylko oddalenia się prędkiego, w każdéj chwili, w każdéj sekundzie; chociaż zupełne osłabienie, odjechać jéj nie dozwalało. Tož jakby głazem grobowym ciężył jéj strop tego domu; ciężył jéj tak boleśnie, że już myślić zaczęła, iż jéj koniec życia nieba przeznaczyły. Jedyny błogi promień, który łagodnie i dobroczynnie tę jéj grobową ciemność rozwidniał; był ten, który z oka jéj, w tak dziwny sposób pozyskanéj przyjaciołki wypływał. Lecz i ta nawet nie zawsze była chętnie widziana; najmiléj było jéj być samą, samiuteńką. Natenczas przeszłość i teraźniejszość mogła jéj myślami dowolnie i demonicznie gonić.

Nakoniec natężona żądza opuszczenia tego domu przemogła; słabość ciała zdała się być pokonaną i od przemożnéj woli zaklętą. Już kilkakrotnie przeszła była Tekla próg swego nieszczęsnego przybytku, aby świeżém odetchnąć powietrzem. Uczyniła to najprzód w towarzystwie swéj przyjaciołki, potém zwykle sama już się wychylała. Wtedyto jednego popołudnia napisała list w następnych słowach:

»Droga przyjaciołko! Już piérwsza minuta w twoim domu była zadługa; nigdy bowiem nie byłabym zdołała uskutecznić twój zamiar, a za tyle cierpień, które ci sprawiłam, zanadto wiele okazałaś mi dobroci. Jesteś wytrwalszą ode mnie, żyj więc nadal dla twojéj powinności. Uczynisz to, gdyż sama proszę cię o to; a dopokąd się znowu tam w innym świecie nie obaczym, nie zapominaj o twojéj

Tekli.«

Złożywszy list, wzięła dla uniknienia wszelkiego domysłu, najpotrzebniejsze tylko ze swoich rzeczy, i puściła się w drogę.

Po kilku dniach wróciła do swego rodzinnego miasteczka. Z tęskną radością ujrzała zdala dworek swéj matki, i zdało się jéj na chwilę, jakby cała przeszłość czarem z pamięci zniknęła. Wszakże nié ma żadnéj radości bez ukrytego ciernia boleści! Wspomnienie o matce stanęło groźnie w jéj duszy.

»O, Boże! jakże ja niegodna córka jestem!«

Słowa te wydarły się jéj z piersi, gdy już przed matką na kolana padła. Lecz serce macierzyńskie zapomniało wszelkiego żalu, skoro córka znowuż na macierzyńskiej spoczęła piersi.

Wszakże Teklę to nie pocieszyło. Była chorą, ciężko chorą na duszy; siły jéj, dokazawszy prawie niepodobieństwa, omdlały znowuż, a w dzień po swoim powrocie, zapadła w gorączkowe obłąkanie najgwałtowniejszéj febry nerwowéj.

»A więc nie kochał mnie!« wołała żałosnym głosem w najsroższym bolu.

Oddano ją do szpitalu sióstr miłosierdzia. Pielęgnowano ją troskliwie z prawdziwą miłością jako siostrę, a anioł śmierci, ulitowawszy się, ustąpił w istocie znad jéj łoża boleści, lecz nie piérwéj, aż utkwił swój grot śmiertelny głęboko w zaród życia. Z rzewną wdzięcznością dla swoich pielęgnicielek, i świętym ślubem oddawania ludzkości téjże samej posługi, podniosła się Tekla z łoża choroby. Niebawem potém wstąpiła do nowicyjatu, i nigdy już tych cichych, miłosiernemu kojeniu bolów poświęconych murów, nie opuściła. Jako najtroskliwsza, najlitościwsza siostra nieszczęśliwych i bolejących, chodziła od łoża do łoża, a gdzie cierpienia najsrożéj dojmowały, tam jéj pocieszające słowo, tam jéj pielęgnująca ręka, niosła najpomyślniejszy balsam.

Lecz anioł śmierci znowuż się zbliżył, a czém bliżéj nad nią się zawieszał, tém rączéj słabły siły żywota, aż w końcu podał jéj rękę, a ona po raz ostatni zabolała. Lekarze tłumaczyli jéj śmierć jako nadwerężenie naczyń piersiowych.

Gdy biédna matka nad łożem dogorywającego dziecka stała, w nieméj boleści ostatniego odetchnięcia czekając, nadszedł list ze stolicy. Seweryn już nie żył; zgryzoty sumienia i żal zwątliły dnie jego życia. Przyjaciołka Tekli przyrzekała w liście przybyć corychléj do swojéj towarzyszki cierpienia, aby po dopełnieniu powinności, żyć z nią razem na zawsze Słysząc to, uśmiéchnęła się Tekla po raz ostatni. A wtém otworzyły się drzwi, weszła spaniałomyślna żona, lecz nie aby żyć z Teklą, lecz być świadkiem jéj skonu.

Na samotnym cmentarzyku stoi prosty kamień grobowy z żelaznym krzyżem i pojedyńczym napisem, a pod krzyżem i głazem, spoczywa serce zbolałe — może na tém samém miejscu, gdzie niegdyś w onéj chwili rozstania, ślub krzywoprzysięzki z wiatrem wionął.

I tylko sędziwa, surowego lica niewiasta, stanie niekiedy nad tym grobem, i łzę uroni.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 5ty i zawiéra: 1) Jurkowskiego rzecz krótka o zacierze melasowym. 2) Wincentego Pola rzut oka na Galicyję (z kartą téjże). (Dokończenie.) 3) Dla czego nie rozpowszechnia się u nas roślin handlowych. 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 5) Uwiadomienie.

Przegląd najnowszych dzieł polskich. W Warszawie wyszły: *Kodeks dyplomatyczny Polski* obejmujący przywileje królów polskich, w. książąt litewskich, bulle papiezkie, jakoteż wszelkie nadania prywatne, dotąd nigdzie nie drukowane, od najdawniejszych czasów aż do r. 1507; wydany staraniem Leona Rzyszczewskiego i A. Muczkowskiego, zbogacony przypisami Z. Helca. — *Opowiadanie historyi polskiéj,* przez Zenonima Aneyprowicza. — *Domowa zagroda,* rys dziejów polskich w opowiadaniu powieściowém dla młodzieży, przez J. Starzę. — *Dzieje Jana III,* króla polskiego, w. księcia litewskiego, przez Leona Rogalskiego. — *Milijon posagu,* powieść J. J. Kraszewskiego, we 2 tomach; w 2gim tomie dodana jeszcze jest powiastka: *Krzyż na rozstajnych drogach.* — Przez tegoż autora wyszła także z końcem roku zeszłego powieść: *Czasy Zygmuntowskie.* — M. Skotnicki wydał 3tomową powieść: *Pan Hilary.* — W Petersburgu zapowiedziany jest nowy romans Eleonory Sztyrmer, pod napisem: *Cioteczno-rodzone siostry,* mający być umieszczonym, podobnie jak powieść H. Rzewuskiego: *Listopad,* w Tygodniku Petersburskim, a dzielić się na 3 części, nazwane: *Kutno, Rozalin i Warszawa.* — Przez tęż samą autorkę wyszła w ciągu r. z. powieść: *Kataleptyk.*

O Jerozolimie mówi pewien podróżny angielski: Główną charakterystyczną cechą tego miasta jest ponura powaga, odpowiednia ogromnym, wzniosłym czynom, których widownią miejsce to było. Nie ujrzéc tam ani słychać żadnéj wesołości, żadnéj zabawy; nigdzie gwaru kupiectwa lub przemysłowości, nigdzie owego natłoku i hałasu miast wielkich, i rojnéj ich, mrówczéj skrzętności; w mieście wszystko głuche, samotne, olbrzymie; za miastem wszystko dzikie, odludne, opustoszałe, W ogólności widok tego miasta nie da się z niczém porównać, co gdziekolwiek indziéj widzieć się zdarzy Jest tam kilka obszernych, wyrównanych placów, lecz nie ujrzysz tam nigdzie drzewa, nigdzie ani jednego ptaka, nigdzie śladu przyozdobienia. Jeźli Jerozolima i przyległe okolice mają piękność jakową, tedy jestto wzniosła piękność, surowéj milczącéj boleści. — O Jerozolimie, nie można więc i teraz inaczéj mówić, jak tylko z żalem i narzekaniem — jak jéj prorocy mówili »O! Jerozolimo!«

Dźwignia Archimedesa. Jak wiadomo, chwalił się grecki matematyk Archimedes, iż gdyby mu dano punkt oparcia się zewnątrz ziemi, tedy dźwignąłby ziemię z jéj wrzeciądzów. Francuz Quetelet obliczył w swoich »*Positions de physique*« długość dźwigni, jakiejby Archimedes do tego był potrzebował. — Przyjąwszy spólny grawitacyjny punkt ziemi i księżyca za takowy punkt oparcia, musiałaby ta dźwignia sięgać aż do owych gwiazd stałych, które 20.000 bilijonów razy tak daleko od ziemi leżą, jak Saturn, a dla podźwignienia ziemi na wysokość jednéj stopy, musiałby Archimedes drugi koniec dźwigni przez 27 bilijonów lat w dół pociskać, i to tylko pod tym warunkiem, jeźliby sprawiona tym pociskiem szybkość osadzenia w dół dźwigni, równała się szybkości lotu kuli działowéj.

Chameleon. O tém osobliwszém źwiérzątku, które wszyscy tak długo za zmyślone uważali, podaje najnowsze podróżnicze dzieło angielskie pod napisem »Wędrówki po Afryce południowéj, przez H. Methuen« następującą wiadomość: Kilku Hotentotów schwytało chameleona. Czy prawda, iż te źwierzątka barwę swoję stosownie do liścia krzewiny, u któréj się wieszają, zmieniać są w stanie, tego nie wiem; lecz chameleon, o ktorym mówię, był tak podobnym do tego liścia, iż tylko z największą trudnością można go było odeń rozeznać. Wzięto go do powozu, włożono mu jak złoczyńcy sznurek na szyję, poczém chameleon nie tylko w twarzy całkiem poczerniał, lecz mienił się także na całém ciele w najrozmaitsze odcienia koloru zielonego. Miał on może ze 3 cale długości; u każdéj nóżki było po dwa palców z pazurami, za pomocą których źwierzątko to do gałęzi się przyczepia. Również i oczy jego były dziwaczne, barwy orzechowéj; małe, leżące na sterczących zewnątrz ruchomych kulkach, wielkości grochu, a jedno z nich często zupełnie wstecz się zwracało, podczas gdy drugie daleko na wprost patrzyło.

Dagerotypy bez światła. Wynalazek Daguerr'a zajmuje ciągle jeszcze uwagę król. politechniki w Londynie, a oraz i w Niemczech czynią ustawiczne z nim doświadczenia, które wiele nowych i bardzo ważnych dla umiejętności postrzeżeń wywołały. I tak np. pewien fizyk niemiecki doszedł sposobu robienia dagerotypów w ciemności. Na płycie z achatu, na której wiele wyrytych jest figur, kładzie on cienką warstwę glimru, a na to, płytę srebrną, tak iż odległość ledwie 1/5 część linii czyni, i wygodnie pomiędzy obiedwie płyty przejrzeć dozwala. Gdy po kilku godzinach płytę srebrną wystawi się na wpływ pary z żywego srebra, okazuje się na niéj wyraźny obraz wszystkich na płycie z achatu wyrytych figur. Próby te działy się w zupełnéj ciemności. Jeżli dwa ciała dostatecznie ku sobie zbliżone zostaną, tedy wzajemnie się odwzorują. Każde ciało należy uważać jako własne światło mające, jako samo-święcące, chociaż nasze narzędzia wzroku nie doznają wrażenia tegoż światła.

Bracia mleczni. Przed niedawnym czasem zdarzyła się w Rzymie następna historyjka. Pewnego poranku wchodzi na przedpokoje papiezkie stary poważny goral, i żąda być przypuszczonym do papieża. Odpowiadają mu, iż teraz to być nie może, naco on jednak uporczywie przy swojém obstaje, twierdząc, iż musi mówić z papieżem, że nie ustąpi się, dopóki się z nim nie obaczy, a jeżliby go przymusem oddalić chciano, położy się na progu, i będzie czekał, aż papież wyjdzie. Nareszcie oznajmiono to jego świątobliwości, który każe wpuścić gorala. Zaledwie tenże wszedł do gabinetu, poznaje w nim Pius IX swego brata mlecznego, i przyjmuje go jak najuprzejmiéj, pytając o matkę, o powodzenie, i czego sobie życzy i t. d. Goral odpowiada, iż matka i on, mają się, dzięki Bogu, dobrze, iż im na niczém nie zbywa, przeco też niczego sobie nie życzy, i tylko po to przyszedł, aby widzieć papieża. Wszakże gdy jego świątobliwość po krótkiej rozmowie chce go pożegnać, zalecając mu, aby wrócił do domu, i starą matkę pielęgnował; oświadcza góral, iż nie wróci do dom, ale zostanie przy papieżu, i będzie nad nim czuwał. Lubo papież z uśmiechem mu przedkłada, iż ma straż dostateczną, że to nie uchodzi, upiera się góral przy swojém, i prosi, aby mu jakiekolwiek inne dano zatrudnienie, któreby mu dozwalało, być zawsze w pobliżu papieża. Przydano go więc ogrodnikowi w Watykanie za pomocnika. Przez kilka dni pracował tam goral ku zupełnemu zadowoleniu swego przełożonego, lecz naraz zgłosił się znowuż do papieża, mówiąc, że ogród Watykański jest wprawdzie bardzo piękny, a wszystko w nim przepyszne, atoli nie może on tam wytrzymać, i błaga ojca św., aby mu pozwolono pracować przynajmniéj w prywatym ogrodzie papieża, gdzieby go choć raz codziennie mógł widzieć Wysłuchano wreszcie dziecinnéj prośby starego gorala, a teraz pracuje on w ogrodzie na Monte Cavallo, gdzie też jego matka, była mamka papieża, razem z nim mieszka.

Rozbój listowny. Przed kilką tygodniami otrzymał pan Rotszyld w Paryżu list, zagrażający mu śmiercią, jeżli o wyznaczonéj godzinie wieczornéj, pod jednym z kandelabrów na placu giełdy, nie złoży 16.000 franków w biletach bankowych i w złocie. Lubo w razie spełnienia prośby najobfitsze przyrzekano błogosławieństwa, odesłał pan Rotszyld list komisarzowi policyi, którego poszukiwania jednakoż bez skutku pozostały. W kilka dni późniéj otrzymał inny bankier podobnež pismo, a prawie równocześnie doszedł też barona Rotszylda list drugi. »Zdaje się,« — pisano mu — »iż list poprzedni nie dostał się w ręce pańskie, przeto zawarta w nim groźba, została jeszcze odroczona; lecz pomnij pan, iż ci, którzy do pana piszą — a jest nas czterech, zniszczonych niepomyślnémi spekulacyjami w akcyje kolei żelaznej — są w ostatniéj rozpaczy, i że życie nasze, równie jak pańskie, na włosku wisi.« — Wreszcie oznaczono tożsamo miejsce do złożenia pieniędzy, lecz żądano 1000 franków więcéj niż wprzódy. Baron Rotszyld odesłał i ten list do policyi. Tym razem były poszukiwania jéj szczęśliwsze. O wymienionéj godzinie przystąpił jakiś nieznajomy do kandelabru, i udając, jakby coś czytał, zgiął się, zabrał złożone pieniądze, i miał już się oddalić, gdy go schwytano. Byłto syn pewnego zamożnego niegdyś drukarza paryzkiego, mający około lat 30, i w wielkiej nędzy wraz z owdowiałą matką żyjący. Z początku zapiérał on się wszelkiego udziału w owych listach, i utrzymywał, iż jacyś dwaj nieznajomi przyrzeczeniem 20 franków do przyniesienia im złożonych pod kandelabrem pieniędzy go namówili. Lecz gdy w mieszkaniu jego różne papiery tegoż samego co owe listy pisma, tudzież sztylet, pistolet, i paczkę arszeniku znaleziono; musiał wyznać, twierdząc, iż z rozpaczy to zrobił, lecz nigdyby zagrożonego zabójstwa był nie popełnił. Zdaje się, iż własna i matki nędza, zdrowe zmysły mu odjęła.

»Teatr historyczny« w Paryżu. Nowy teatr Aleksandra Dumasa, o którym już donoszono, a który pierwotnie Teatr-Montpensier miał się nazywać, otrzymał teraz na mocy rozporządzenia ministeryjalnego nazwę »Teatr historyczny«, i będzie bezpośrednio po klasycznym »Teatrze francuzkim« drugie miejsce zajmował. Dzienniki paryzkie opisują obszernie pyszne przyozdobienia tego gmachu. Co do ozdób rzeźbiarskich, te będą się składały z posągów Trajedyi i Komedyi, zamieszczonych na dole, z grup Hamleta z Ofeliją, i Cyda z Chymeną, na pierwszém piętrze, wreszcie z kolosalnego jenijusza, jako obrońcy nowéj budowy, umieszczonego u saméj góry. Wykonanie ozdób malarskich zlecone jest panu Guichard. Na azurowém tle pogodnego nieba, w środku ponad świętémi górami Helikonu, Parnasu i Pindu, unosi się grupa z trzech postaci, z których średnia, Poezyja, podaje jedną rękę Trajedyi, drugą Komedyi. Po obojéj stronie widać najsławniejszych mistrzów sztuki dramatycznéj, po prawéj stoją Eschyl, Sofokles, Corneille, Racine, Voltaire, Szyler, Talma, Nourrit, Gluck, Mehul; po lewéj: Aristofanes, Plautus, Terencyjusz, Menander, Molière, Gete, Lope de Vega, Regnard, Merivaux, panna Mars, Mozart, Gretry. U stóp tego świetnego zgromadzenia rozwija się szereg obrazków, odnoszących się do przedstawionych powyżéj osób. W pośrodku, jako wspomnienie początków sztuki dramatycznéj, (ofiar kozła, i pieśni na cześć kozła) widać świątynię Bachusa, a przy niéj Bachantkę z rozpuszczonémi włosami, podającą poecie czarę z winem, które usta mu rozwiązuje. Każde międzymiejsce w kolumnadzie ma swój osobny obraz, jako to: Fedrę, Otela, Cynę, Mizantropa, Skąpca, Fausta, Tella. — Całe przyozdobienie gmachu ma z upływem roku tego być ukończone.

Prawo polowania. W okolicy Canet we Francyi przydybało dwóch żandarmów myśliwego, który na żądanie wykazania się świadectwem, dozwalającém mu polować w tamecznym lesie, złożył się do nich, ostrzegając, aby się na krok do niego nie zbliżali. Żandarmy nie chcieli na to zważać, i szli wprost

ku niemu, na co myśliwy wystrzelił, i jednego z żandarmów trupem powalił. W oka mgnieniu, dał drugi żandarm ognia, a widząc że myśliwy padł krwią zalany, nie odbiérał mu już strzelby, lecz udał się coprędzéj do wójta wioski, aby się z nim razem na miejsce udać. Tymczasem, raniony lecz nie zabity myśliwy przyszedł nieco do siebie, i nabił dubeltówkę. Za zbliżeniem się zaś żandarma z wójtem, wycélował do pierwszego, i położył go trupem, a potém z drugiéj lufy sobie samemu życie odebrał. — W Zjednoczonych Stanach północnéj Ameryki, gdzie każdemu wolno polować kędy i kiedy mu się tylko podoba, nie nastręczają się podobne daty do statystyki społecznéj.

Pijanie bardzo mocnéj kawy po winie, co z Francyi w zwyczaj weszło, lubo przyjemne, jest wszelako nader szkodliwe, zwłaszcza po tęgich winach. Następuje potém wielkie wzburzenie, o ile że kawa nie tylko na żołądek lecz i na mózg wpływ wywiéra. Okazują się te skutki najbardziéj na skórze, która przez to szczególnej grubości i szorstkości nabywa. Twierdzą nawet, iż kawa odmienną barwę skórze nadaje. a wielu znakomitych lekarzy przypisywało ciemność płci Paryżanów zbytniemu używaniu kawy.

Nowoodkryty malarz. Starodawne przysłowie »Nie ródź się pięknym, a ródź się szczęsnym« zdaje się zawsze jeszcze być prawdziwszém, niż nowoczesne twierdzenie, iż dziś już każdy talent należne znajdzie uznanie.— Przed kilką laty umarł w Paryżu niejaki Michel, człowiek blizko sześćdziesięcioletni, utrzymujący się z handlu starémi gratami, ubogi jak filozof, a swobodny i bez trosków jak artysta. Zamknąwszy bywało swój kramik wieczorem, brał żonę i pudełeczko z farbami, i wychodził za miasto, ku Montmartre. Tam zjadłszy z żoną wieczerzę w lichéj gospodzie, siadał w pobliżu łomu kamieni, i wpatrywał się długo w niebo, w pola i lasy. Poczém zaczął zwykle z niesłychaną szybkością malować, a obrazy jego dorównywały niekiedy mistrzowskim utworom Ruysdaela, Hobbema. Skończywszy szkic jeden, zmieniał stanowisko, i tak nieraz trzy, cztéry krajobrazy za jeden wieczór wykonał. Nikt wprawdzie obrazów tych nie kupował, chyba że biedny artysta pomiędzy stare malowidła swego sklepiku je wtrącił, i jako starożytność spieniężył. Jednakże i to nie zawsze się udało, gdyż po większéj części składał Michel swoje wieczorne szkice na strychu, gdzie po jego śmierci przeszło 800 takich krajobrazów znaleziono. Ktoś zakupił je ryczałtem, prawie za nic, i pojedyńczo znowu sprzedawał, biorąc po 15 — 20 franków za sztukę. Tym sposobem dostało się kilka obrazów na licytacyje, i dopiéro wtedy zaczęto się dopytywać, co to za malarz, ten Michel. Teraz dobijają się namiętnie o jego prace, i ogromne sumy za nie płacą. Wszystkie obrazy Michel'a są z Montmartre zdejmowane, gdyż przez całe życie nie wychylił się stary tandeciarz za okolice Paryża. Na każdy wypadek byłto rzadki talent, który, jak tyle innych, w ubóstwie zmarniał!

Magnetyzm wszedł teraz tak dalece w modę w Paryżu, iż dzieją się mnogie i bardzo pomyślne spekulacyje z jasnowidzącémi. W tamecznych pismach czasowych czytamy coraz więcéj ogłoszeń tego rodzaju: np. «Jasnowidząca, pod nadzorem lekarza, zalecana w dziele »*le Magnetisme expliqué*« jako najdoskonalsza ze wszystkich znanych somnambul.. «— Inną, nazywającą się powabnie Wirginija, zalecają do konsultacyj lekarskich, z tym dodatkiem, iż: »z takiemi konsultacyjami oraz praktyczne odczyty o magnetyzmie są połączone.«

Inwalid w spodnicy. Zwidzając warownie Paryża, postrzegł król Ludwik Filip niedawno kobietę o szczudle, z krzyżem legii honorowéj. Na zapytanie opowiedział mu jenerał Gourgoud, iż ona w bitwie pod Friedland jako podoficer przy huzarach walczyła, i tamże krzyż otrzymała, — naco król 100 franków wręczyć jéj kazał.

Kaszmiry, których dotąd zazwyczaj tylko do szalów i sukień damskich używano, bywają teraz w fabrykach francuzkich w grubszéj i mocniejszéj jakości wyrabiane, i są przeto zarównie i na mezkie suknie przydatne. Jakoż widać już w Paryżu od niejakiego czasu wiele fraków, surdutów, pantalonów i kamizelek, z téj materyi, która dla swojéj miękkości coraz bardziéj się upowszechnia.

Ludzie zamiast dzienników. Wynaleziono w Paryżu nowy sposób ogłaszania wiadomości kupieckich. Od rana do wieczora biegają po ulicach ludzie ubrani w białych bluzach, na których ogromnémi czarnemi literami czytać można doniesienia o nowych towarach, jako też: gdzie i po jakiéj cenie one są do nabycia. Całem zadaniem tych afiszów człowieczych jest, nieustannie z miejsca na miejsce biegać.

Orszak podróżny króla Monomotapy składa się, podług doniesień pism francuzkich, z oddziału wojska mezkiego, z 400 uzbrojonych kobiet i 200 psów zajadłych. Czy żołnierze, czy kobiety, czy psy najlepszą są ochroną? — sami czytelnicy łaskawie to rozważą.

Nowe umiejętności. Pisma królewieckie donoszą, iż niejaka pani Teszner w Królewcu ogłosiła publiczne odczyty »O nauce robienia strojów» — w którychto odczytach, odpowiadając życzeniom wielu dam światłych, wykładać będzie zasady czépko-logii, koszulo-matyi, i kapeluszo-logii, starając się ile możności teoryję i praktykę »w jednię skojarzyć.«

Anegdota irlandzka. W »Humorystycznéj podróży po Irlandyi« czytamy: Nająłem sobie w Galoway powóz, którym o kilka mil w głąb kraju udać się chciałem. Po niedługiéj jeździe stanęliśmy u podnóża niewielkiego wzgórka. Woźnica mój zlazł z kozła, i przystąpiwszy do drzwiczek powozu, kilkokrotnie ze stukiem otworzył je i zamknął. »Cóż to ma znaczyć?» — zapytałem. »Na co otwierasz ?« — »Sza, cicho, niech jegomość się nie odzywa» — odrzekł woźnica tajemniczo. »Chciałbym moim szkapom bąka puścić. Jeźli zatrzasnę kilka razy drzwiczkami, będą myślały, że jegomość wysiadłeś, że im lżéj teraz, i jak szatany na górę polecą.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.